

# BIUSZCZ.



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET



Przenajświętsza rodzina.

# POGA WĘDKA

Życzę dzieciom waszym, jak najwięcej niegaspnących światła na choince ich żywota.

Choć już daleko, daleko mam za sobą dziecięce zachwyty, nie mogę jednak dotąd oprzeć się wrażeniu, jakie zawsze jeszcze sprawia na mnie choinka; jest to chyba jeden z najbardziej poetycznych pomysłów, które ludziom przyszły w formie bardzo prostej, a pięknej właśnie przez tę prostotę.

To zielone drzewko, urągające śnieżnej i mroźnej zimie, kwitnące światłkami, ze złotą gwiazdką u szczytu, obwieszzone samymi niespodziankami, kryjące w swoich gałązkach łakocie i zabawki,—dobre, pocziwe, hojne drzewko jest najmilszym marzeniem wszystkich dzieci i ich radością świąteczną.

Chwalebny zwyczaj każe wieszać na niem obok rumianych jabłuszek i złożonych orzeszków pożywe także owoce dla młodego umysłu w postaci książek, najstosowniejszych na gwiazdkowe podarki.

Co rok nasi wydawcy na wzór swych zagranicznych kolegów przygotowują świeży zapas ozdobnych nowości z literatury dziecięcej, pedagogicznej, dbając o formę i o treść tych dziełek, których zawsze jeszcze, niestety, zamało wychodzi oryginalnie pisanych, ze szczególniejszym uwzględnieniem swojskich czytelników.

Sprawiedliwość jednak wyznać każe, że i pod tym względem możemy już zanotować znaczny postęp.

Specjalnych pisarzy dla dzieci w rodzaju Jachowicza, Hoffmanowej, Anczyca, Chęcińskiego i innych celniejszych nie mamy wielu; śmierć zabrała nam jeszcze nader pożyteczną i zasłużoną w tym kierunku autorkę ś. p. J. M. Zaleską.

Oryginalna twórczość oparta na wyjątkowym talencie pisania dla młodzieży, na znajomości natury, smaku, pojęć malutkich czytelników, na darze kształcenia i zajmowania zarazem młodocianego umysłu, musi być ograniczoną pomy, póki się nie wyrobi więcej dzielnych piór w tym rodzaju,—więcej powiem: póki prawdziwe, poważniejsze talenty nie zechcą nagiąć się i spróbować tworzenia dla małych Jasiów i Marylek.

Powtarzam, że idzie ku temu i z każdym rokiem wydawnictwa nasze dla dzieci nabierają i właściwego charakteru, i swojskości, i staranniejszej formy, dzięki powierzeniu tych zadań siłom literackim, nie rzemieślniczym, dawnej falangi tłumaczy i tłumaczek.

Widziałem np. wśród tegorocznych nowości „na gwiazdkę,” dwie śliczne ilustrowane i wytwornie wydane książeczki nakładem p. Arcta, na których wyczytałem nazwisko Maryi Konopnickiej.

Tablic kolorowanych i rysunków wprawdzie dostarczyli artyści zagraniczni, ale text oryginalnie dotworzyła nasza poetka, skutkiem czego literacka wartość książki ogromnie zyskała.

Ilustratorstwo nasze, chociaż się wyrabia, nie może jednak jeszcze rywalizować z zagranicznym, zwłaszcza z francuzkiem, pod względem smaku, staranności rysunku, dowcipnego układu i efektu. Z tego względu po większej części nasi wydawcy posługują się najczęściej kliszami sprowadzanimi i korzystają z obcych wydań.

Miałem w ręku jedną z najświeższych książek dla młodzieży p. t. „Doktor Mucholapski,” którego

autor p. Erazm Majewski, wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł spopularyzowania nauki o owadach w formie powieści *à la Jules Verne* i przysporzył nad wyraz zajmującą pracę, gruntownie naukową a zajmującą jak bajka, dla młodych zarówno, jak i dla starych czytelników.

Otóż wyznam szczerze, że pierwszy raz zobaczyłem u nas taką książkę ilustrowaną z prawdziwie artystycznym charakterem, przypominającą najstaranniejsze wydania paryżkiego rodzaju.

A ilustratorem był p. Julian Maszyński, rysownik bardzo poprawny, artysta obdarzony rzadką u naszych malarzy przymieszką dobrego smaku i dowcipnej pomysłowości.

Podobnie bardzo korzystnie wyróżniają się wśród wydawnictw gwiazdkowych rysunki tegoż artysty do powieści historycznej z XIII-go wieku, napisanej przez p. Zuzannę Morawską dla dorastającej młodzieży p. t. „Giermek książęcy.” Autorka w zajmujący sposób opowiada dzieje Gosława z Rożenna, który jest bohaterem tej powieści.

„Giermek” i „Chrobry,” opowiadanie z XI-go wieku autora „Bitwy pod Raszynem,” stanowią jedyny plon historycznego powieściopisarstwa dla młodzieży w roku bieżącym.

Pośmiertną spuściznę J. M. Zaleskiej wydała firma Gebethnera i Wolffa, wraz z powyższymi dziełkami, p. t. „Odgłosy gór i dolin” i „Iskierki;” są to zbiorki mniejszych i większych powiastek, natchnionych znacną myślą i moralną dążnością.

Jedną z najlepiej pomyślanych książek, podającą młodym czytelnikom w bardzo zręczny sposób mnóstwo pojęć naukowych z dziedziny zoologii, botaniki, chemii, anatomii, jest spore w rozmiarach opowiadanie p. Jadwigi z Zakrzewskich Wóycickiej, autorki znanej mapy poglądowej Królestwa Polskiego; tytuł tej sumiennej i zręcznej pracy: „Mój dobroczyńca.”

Pani Wóycicka wplotła w akcja powieści rozmaite fakta przyrodnicze, które stosownie objaśniane muszą w umyśle czytelnika pozostawić niewątpliwą korzyść i rozszerzyć widnokrąg jego pojęć i wiadomości, a co najważniejsza rozbudzić w nim, taksamo, jak w bohaterze opowiadania, ciekawość i zamiłowanie do nauki.

Okazuje się tedy, że zdolnych pracowników na wdzięcznej niwie tej pedagogicznej belletrystyki przybywa u nas nieustannie i cieszyć się tylko z tego przybytku wypada.

Jakkolwiek kilkoma słowy wspominam o każdym z ważniejszych wydawnictw gwiazdkowych, chciałbym je jednak polecić szczególnie wszystkim ojcom i matkom, poszukującym stosownej lektury dla swoich dzieci, a chociaż to polecenie przychodzi nieco spóźnione, bo w chwili, gdy choinki już zapewne zaopatrzone i obładowane w rozmaite świąteczne podarki, nadmienić muszę, iż dobrą książkę można dziecku zawsze ofiarować bez ograniczonego terminu, więc i po Bożem narodzeniu, i po Wielkanocy nawet i... kiedykolwiek w ciągu roku.

Ruch przedświąteczny był tym razem dość ożywiony; starano się go podtrzymywać sztucznie i wyzyskiwać chwilę, jak się dało.

Filantropia konkurowała sama z sobą

W salach Resursy Obywatelskiej Towarzystwo Dobroczynności rozdmuchało gasnącą coraz bardziej z każdym adwentem „Gwiazdkę”; po sklepach ruchomego bazaru na osady wakacyjne uproszone przez d-ra Fritschego damy zbierały odsetki z całodziennych targów i wypelniały niemi skarbone słabowitych mizeraczków warszawskich.

Dochód tegoroczny powinien być znaczny, bo i firm więcej zgłosiło się ze swoją ofiarą, i dłużej trwał ten oryginalny bazar, którego pomysł wart jest patentu; dziwna rzecz, że większe miasta prowincjonalne nie naśladowują pod tym względem Warszawy i nie tworzą w swej okolicy takich samych kolonii wakacyjnych.

Czyżby biedne, anemiczne i wątłe dzieci, potrzebujące sił, zdrowia, świeżego powietrza i odżywienia, znajdowały się tylko na bruku warszawskim?... a może gdzieindziej brak jest tak energicznych organizatorów, jak dr Fritsche i tak gorliwych opiekunek, jak damy należące do komitetu osad letnich w Warszawie?...

Bardzo byłbym rad, żeby mi kto te kwestye rozjaśnił.

W programacie adwentowych pomysłów nie zabrakło w tym roku wystawy szkiców, której wszelako sami artyści zrobili niebezpieczną konkurencją, urządziwszy w salonach p. Krywulca w Hotelu Europejskim oryginalną wystawę swoich... prac i pracowni.

Wspominałem już o tym projekcie, jako o nowości, której można było przepowiadać powodzenie.

Zasłużyli na nie najzupełniej inicjatorowie i wykonawcy.

PP. Ryszkiewicz, Badowski, Piotrowski, Szwojnicki, Szyncler, Kostrzewski (syn), Wyczółkowski, Witkiewicz, Fałat, Bielski, Rudawski, de Lavaux, Stencel, Jasiński, Pawliszak, Owidzki, Cichoński i Dowgird pomieścili swoje prace, większych i mniejszych rozmiarów, a niektórzy zadziwili istotnie wytwornością i smakiem w urządzaniu tych miniaturowych *ateliers*, przybranych dywanami, makatami, litami pasami i wszelkimi akcesoryami, bez których malarz „szanujący się” tworzyć nie może.

Wygląda to w całości i w szczegółach malowniczo i zajmująco, a w każdym razie dla publiczności bardzo ciekawie.

Ta publiczność niewiele ma pojęcia o tym zakulisowym świecie naszej sztuki, bo prawie nigdy nie odwiedza pracowni artystów z obawy, aby przypadkiem... nie dała się skusić na kupienie obrazka po długim targu, albo na zamówienie portretu.

Mecenasów mamy niewiele, a ci, którzy za takich uchodzą pragną, chcieliby swój chwalebny tytuł okupić jaknajtańszym kosztem.

W tych warunkach, naprawdę, nadziei się nie mogłem, żką naszym malarzom starczy jeszcze: poza utrzymaniem, na urządzenie takich pracowni?

Ciekawy jestem: czy naszym lordom, którzy nie mają gotówki na kupowanie malowanych koni, starczą pieniądze na grę w totalizatora po zaprowadzeniu nowych rozporządzeń, obowiązujących od roku przyszłego. Oto ukróconym zostanie hazard, który w ostatnich czasach uprawiali na wyścigowych polach nawet terminatorzy i posłańcy; odtąd totalizatory urządzone będą tylko dla publiczności zamożniejszej w obrębie trybun i łoży sędziowskiej, najmniejsza stawka wynosić może... rs. 10, wychowankom zakładów naukowych nie będzie wolno próbować szczęścia za żadną cenę.

Rozwiną może powyższe rozporządzenia... ducha assocjacji i spółek udziałowych wśród tych, którzy nie będą mogli sami ryzykować całej dziesięcioroblowej stawki, a wtedy—kto to wie—może przez nich łatwiej dojdą do celu utykające projekta wspólnych przedsięwzięć na innych torach, nietylko na wyścigowym.

Mówiąc to żartem, mam na myśli na prawdę projekt rzemieślniczego bazaru, który staje się wreszcie nudnym tematem, gdy go powtarza w przeróżnych wariacjach cała prassa... bez skutku.

Czego nie mogli dokonać inicjatorowie bazarowego projektu, to próbuje urzeczywistnić w odmiennej nieco formie i na innych warunkach warszawski oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Na wniosek p. Lepperta, opracowany przez osobną delegację, postanowiono otworzyć w Warszawie stałą wystawę wzorów i prób tego wszystkiego, co nasz przemysł na wywóz ofiarować może. Przy wystawie funkcjonować ma zarazem biuro dostarczające wszelkich wiadomości o stanie naszego przemysłu, o pojedynczych dostawcach poszczególne, — pośredniczyć w stosunkach handlowych, polecać tylko wyroby i towary dobre, nie tandetę i lichotę, która psuje kredyt i opinię naszej wytwórczości na obcych rynkach.

Wystawa taka, bądź to w oryginalnych okazach i próbkach, bądź też w kopiach, w albumach, fotografiach, rysunkach, byłaby nieustającą reklamą dla kupców, przemysłowców, fabrykantów, rękodzielników, zaś zarząd wystawy zapomocą ogłoszeń, katalogów, informatorów ekspertowych starać się ma o jaknajwiększy rozgłos dla wystawców i ich produkcji.

Pomysł w zasadzie bardzo praktyczny i oddawna powinien był się urodzić pod dachem Muzeum rolnictwa i przemysłu, jako instytucji, która praktyczne cele tegoż przemysłu i rolnictwa popierać miała w szerszym zakresie.

Jest on o tyle łatwiejszym do wykonania, że ma na początek grunt oparcia i nie potrzebuje zbierać 10.000 rs. kapitału drobnemi udziałami, jak projektowany Bazar rzemieślniczy, którego powstanie, mimo to, zapewniłoby członkom niemałe korzyści materialne.

Wogóle w naszych sferach przemysłowych i handlowych ożywiło się w ostatnich czasach; ludzie ruszają się, myślą nad poprawieniem interesów i warunków rozwoju swojej sfery. Oto wybrana komisya rzeczoznawców zajmuje się ułożeniem ustawy i pozyskaniem zatwierdzenia władzy dla projektowanego „Towarzystwa popierania pracy rzemieślniczej“ na wzór takiego stowarzyszenia, zawiązanego w roku zeszłym w Moskwie i prosperującego świetnie w krótkim czasie swego istnienia.

Towarzystwo rzeczono obejmowałoby wszystko, co może dążyć do wyżej wymienionego celu, zaczawszy od zakładania bezpłatnych pracowni nauczających do zakupu wspólnemi siłami materiałów surowych z wolnej ręki, do wspólnych sklepów sprzedaży, bazarów, wystaw, muzeów rzemieślniczych, odczytów i pogadanek w kwestjach zawodowych i ekonomicznych, obchodzących bliżej rzemieślników.

Ustawa moskiewska zakreślona jest na bardzo szeroki plan, bo zawiera w sobie takie kwestye, jak zabezpieczenie starości, zakładanie kas oszczędności, wzajemnej pomocy, zabezpieczania od wypadków, kassy dla chorych, wreszcie zabawy rzemieślników w umyślnie urządzonych resursach z prawem dawania przedstawień amatorskich, koncertów, wieczorków i t. d.

Rozumie się, iż zakres i warunki ustawy dla podobnego towarzystwa w Warszawie musiały być skromniejsze i bardziej ograniczone do stosunków miejscowych; ale choćby nawet zyskały zatwierdzenie w najskromniejszych rozmiarach, mogłyby stworzyć grunt do pracy bardzo owocnej i pożytecznej w swoich skutkach.

Wspomnieć winienem jeszcze o jednym projekcie, który wyszedł od p. Edmunda Diehla, sekretarza warszawskiego Towarzystwa przemysłu i handlu. Projekt ten zasługuje na zupełne uznanie a dotyczy utworzenia słownictwa rzemieślniczego, któreby ustaliło polskie nazwy dla narzędzi, przyrządów i wszelkich sposobów roboty naszego rękodzielnika.

Ułożyć, zebrać, uporządkować taki słownik: to praca bardzo mozolna i ciężka, ale jeszcze ciężej byłoby wprowadzić to w użycie, i z drukowanej książki przenosić w usta wszystkich majstrów, czeladników i terminatorów.

Dużo wody upłynie, dużo pilników się stępi i szrubstaków zużyje, zanim pozbędą się starych, a przyswoją sobie nowe nazwy w pracowniach

i wytwórniach. Ale raz początek dać trzeba i dlatego dobrze się stało, że tę sprawę we właściwej sferze poruszono.

Najbardziej dziś zajmującą kwestyą, która całe massy aż do szpiku kości porusza w zakatarzonej Europie, jest kwestya epidemicznej... *influenzy*; trapi ona ludzi na północy i na południu, na wschodzie i zachodzie, łupie w głowach, wierci w stawach, rzuca na łóżko w gorączce 40-stopniowej, a gdy się nazęca przez dni kilka odchodzi i pozostawia tylko bolesne wspomnienia. Niebezpieczną o tyle nie jest, o ile chorzy higienicznie żyją, strzegą żołądka od przeładowania, a nóg, piersi i gardła od zaziębienia.

W każdym razie lepiej jej uniknąć i nie przechodzić kilkudniowej męczarni, ale w tym wypadku gwałtownej epidemii zdrowie tylko od trafu zależy; nie można wiedzieć gdzie, kiedy, jak człowiek wszczepia w siebie dokuczliwy zarazek, czem się od niego ustrzedz i jak się go pozbyć może.

Według przypuszczalnych obliczeń 10% ludności całej Warszawy podlegało już tej chorobie.

Jakiś Strachajło z reporteryi rozpuścił niebacznie pogłoskę, że influenza jest tylko heroldem cholery i zatrzył nas niepotrzebnie, rozsiewając taką wieść, naukowo nie stwierdzoną. Poważne zapewnienia lekarzy uspokoiły na szczęście, opinią publiczną, że między jedną epidemią a drugą nie ma żadnego związku.

Wilka z lasu jednak wywoływać nie należy, a w wieku nerwowym, w czasach hypnozy i sugestyi nie trzeba w nikogo wmawiać niebezpieczeństwa, aby nie pomnażać chorych przez imaginacyę.

Myslałem, że stary rok zakończę wesoło: a tu, niestety, ostatnią tegoroczną gawędę zakończyć muszę pośmiertnem wspomnieniem kilku ludzi, których straciliśmy przed świętami.

Z grona muzyków i pedagogów ubył ś. p. Władysław Wiślicki, jeden z głównych założycieli Towarzystwa Muzycznego w Warszawie, sekretarz jego, bibliotekarz, dyrygent chórów i członek komitetu, człowiek czynny i ruchliwy na swoim stanowisku.

Z szeregow literackich zabrała śmierć ś. p. Mieczysława Bierzyńskiego, młodego adwokata w Kielcach, przed kilku laty współpracownika pism warszawskich, utalentowanego nowellistę, pisującego pod pseudonimem „Czerneda“.

Zacne serce biło w tych wężkich piersiach. Prawy charakter, pełen słodyczy i uczynności, niezaprzeczona zdolność, poważny pogląd na życie i obowiązki, wytrwała chęć do pracy choćby nad siły, zmarnowała śmierć przedwczesna w osobie ś. p. Mieczysława.

Z dziedziny artystycznej uszczuplił drużynę młodych a obiecujących wiele malarzy i rysowników ś. p. Władysław Sandecki; w pismach ilustrowanych dał się poznać odrazu wyróżniającym się talentem, dobrym smakiem w układzie i efektownym światłocieniem. Marzył o tem, aby się kształcić zagranicą i poświęcić poważnej sztuce; ale w dwudziestym roku życia musiał się już położyć do trumny z marzeniami nieziszczonymi.

Cichego, skromnego a zdolnego pracownika wydarła nam śmierć z grona architektów i budowniczych; umarł ś. p. Władysław Hirszel. Pozostało po nim wiele okazałych domów, stawianych w Warszawie, wiele kościółków na prowincyi, wyborny „Przewodnik dla malarzy“, w druku, i podręcznik dla budowniczych, w manuskrypcie.

Pokój ich pamięci!

Quis.

## JÓZEF VERDI.

(Dokończenie).

Verdi, dziecię ubogich kramarzy z wioski Rancocole, położonej niedaleko Busseto w Księstwie Parmeńskim, ujrzał światło dzienne w roku 1813. Małym dziecięciem już okazywał wiele zamiłowania do muzyki; dźwięki jej, koły jego smutki pacholece, szukał jej w kościele i wśród zabaw ludowych. W domu, całemi godzinami zajmował się grą na starym szpinecie, a najszcześliwszym był, gdy mu dozwolono w miejscowym kościółku zagrać na organach. Natury żywej, ruchliwej, dla której beczyność była męczarnią, szybko chłonał w siebie wrażenia i okruchy wiedzy, otaczająca go zaś atmosfera pełna prostoty a zacności, uczyniła go szczerem, dobrego serca, pracowitem dzieckiem. Nauki początkowo pobierał od miejscowego organisty i kapelmistrza Provesi'ego; słaba to była pomoc, lecz wrodzona zdadność młodzieńca potrzebowała tak mało podniety, by rozwijać się zdumiewająco, iż wkrótce za ciasno mu było w domu rodzinnym, miejscowe muzykalne środki mu nie wystarczały, i zaczął pragnąć szerszego świata, nie dla ludzi, lecz dla muzyki i obszerniejszem jej znaczeniu. Życzliwi znajomi i protektorzy, którzy zauważyli wybitne jego zdolności, ułatwili mu możność wydotania się z wiejskiego zakątka. Widziny go więc w Medyolanie, gdy pełen zapału i nadziei, kołacze do podwoi przybytku sztuki, żądając światła i możności dalszego kształcenia się w ulubionym zawodzie. Jednak podwoje konserwatorium medyolańskiego pozostały zamknięte; Verdiego nie przyjęto w poczet uczniów. Objawiła się tu podobna niesprawiedliwość i pyszałkowie zaslepienie, jak w owym czasie, gdy, z Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, wyepędzono Overbeck'a, późniejszą chlubę niemieckiej szkoły malarskiej. Takie pomyłki akademii są dowodami małoduszności krótkowidztwa, które je same śmiesznością okrywa; nie mają jednak żadnego następstwa i wpływu, jeśli dotyczą jednostek, w których tkwi prawdziwe żarzenie genialności obok siły charakteru i wiary w siebie.

Zawód, który spotkał Verdiego, był bezwątpienia jednym z najprzykrzejszych; na razie młodzieńcowi spragnionemu nauki zamykały się wrota jej przybytku; kto wie jednak: czy ten właśnie pierwszy zawód nie był dlań szczęściem? Kto wie, czy przy ówczesnym stanie Akademii, noszącej pewne piętno konserwatywnego zastoju, zdolności Verdiego miałyby właściwie wytknięty sobie kierunek?—czy rozwinięłyby się w nim zapal do tego, co wielkie, w czem muzyka stoi na najwyższym swym szczeblu? Przypadkowe spotkanie na drodze swej kapelmistrza teatru La Scala, Lavigna, zbliżyło go do sceny, wtajemniczyło w żywioł teatralny, dało mu możność studyowania muzyki dramatycznej.

Lavigna nie szczędził mu rad doświadczonych i zajął się gorliwie swym uczniem, odczuwając w nim przyszłego mistrza.

Raz jeszcze jeden groziło Verdiemu niebezpieczeństwo zwicnięcia karyery twórczej. Gdy bowiem w roku 1833 zmarł w Busseto Provesi, dawni z rodzinnych stron dobroczyńcy Verdiego, wśród których szczególniejszem doń przywiązaniem odznaczał się Barozzi, nauczyciel miejscowy, nakłonili swego protegowanego, by starał się otrzymać wakuującą posadę kapelmistrza. Przeznaczenie jednak zachowywało dlań inne drogi życia: posady, na szczęście, nie otrzymał, i to ostatecznie zdecydowało o losie twórcy dwudziestu pięciu oper.

Przykrości wszelako i zawody doznane w latach młodzieńczych, w latach czulej wrażliwości, nie mogły przejść bez pozostawienia pewnej gorczy na dnie duszy. To też śledząc uważnie ogólny typ jego twórczości i charakteru, niepodobna nie spostrzedz lekkiej, mimowolnej może

barwy pesymizmu, która zarówno jego usposobienie jak i dzieła cechuje.

Pierwszym dziełem, które zwróciło uwagę ogółu na dotąd nieznaną imię, była opera wystawiona w r. 1839 w Teatrze La Scala w Medyolanie. Opera ta, libretta Romaniego, p. n. *Oberto conte di San Bonifazio* doznała dobrego przyjęcia, a kompozytorowi zapewniła poparcie ludzi wpływowych, jak: Merelli, impresario, i Ricordi, wydawca.

Druga opera, napisana na żądanie Merrellego, powstała w najboleśniejszej chwili życia artysty. Śmierć przeszła przez jasne domowe jego zacisze, przerywając dni jego ukochanej towarzyski, córki wspomnianego wyżej nauczyciela Barozziego. Idealna ta miłość, od lat młodzieńczych jednocząca dwie szlachetne istoty, wypełniała całą ognistą jego duszę; grom ten więc ubezwładnił na chwilę wszelkie działania genialnej myśli, pozostawiając tylko poczucie obowiązku w spełnieniu przyjętego zadania. Zmuszając się nadludzkim wysiłkiem do prowadzenia dalej zaczętej pracy, czyniąc gwałt swej zbolącej duszy, wykończył operę komiczną *Un giorno di regno*, która, wystawiona w r. 1840, upadła, albowiem nie zawierała w sobie żadnego błysku swobodnej twórczości.

Merelli nie dozwolił wszakże artyście zniechęcić się wskutek niepowodzenia opery, nie dopuścił zwątpienia do jego duszy: przeciwnie, ciągle podniecając wrażliwość Verdiego, skłonił go do dalszej pracy, którą też on z nowym zapałem podjął. Owocem tej reakcji ożywionego talentu była opera „Nabuchodonozor“ (r. 1842), która olbrzymim powodzeniem, nie tylko już we Włoszech, rozniosła szeroko sławę kompozytora.

Bezpośrednio potem następuje najplodniejsza bodaj epoka twórczości Verdiego; w okresie ośmioletnim powstaje trzynaście oper: I *Lombardi*, *Ernani*, *I due Foscari*, *Giovanna d'Arco*, *Alzira*, *Attila*, *Makbet*, *I Masnadieri*, *Il Corsaro*, *Bataglia di Legnano*, *Luiza Miller*, *Stiffelio* i *Rigoletto*. Z tych do obecnej pory na wszystkich scenach utrzymują się w pełni powodzenia tylko dwie, mianowicie: *Ernani* i *Rigoletto*; jednak z chwilą wystawienia tych wszystkich oper, tylko cztery zeszyły wkrótce z repertuaru scenicznego, to jest: *Alzira*, *Il Corsaro*, *Bataglia di Legnano* i *Stiffelio*; inne cieszyły się dość długo względem powodzeniem. W *Ernani* Verdī zaczyna już głębiej sięgać w efekta dramatyczne, orkiestra starannie instrumentowana i ściślej złączona z treścią akcji, wypełnia punkta kulminacyjne bogactwem swego kolorytu. Akt trzeci, a szczególnie finał, jest najwspanialszym momentem całej opery. *Rigoletto* rozpoczyna epokę reakcji w twórczości Verdiego. W operze tej, prawie już zupełnie zrywa z tradycją przeszłości; zaczyna szukać nowych dróg dla siebie, zwraca szczególną uwagę na kontrasty życiowe, zestawia je umiejętnie, potęgując wrażenie przez siłę prawdy w sztuce. Prawda ta czyni to dzieło sympatycznym i zrozumiałym dla każdego, każdy odczuje ją, bo ją zna. Czyż albowiem nie spełniają się w życiu codziennym owe sceny pełne grozy, gdy rozpacz i łzy, bezpośrednio sąsiadują z rozpasianiem wesela, śmiechem rozpuszty?

Po dwuletniej przerwie, w r. 1853 równocześnie prawie: „*Trubadur*“ i „*Violetta*“ elektryzują Włochy. Tematyczność ich, tak bogata, łatwa i czysto włoska, do zachwyty doprowadza ogół. Dziełami temi Verdī spłaca dług swej narodowości, której żywe tętno w swem sercu odczuwa. Jest to poniekąd potrzebą jego duszy odsłonić głębie skarbnicy śpiewności ogarniającej całe jego jestestwo; niczem też nie kępowana wylewa się rwącym potokiem. Popularność tych oper stała się prawie przysłowiową, melodeje z nich rozeszły się wśród ludu włoskiego, stając się jego własnością. Obiegłszy wszystkie sceny europejskie, do tej chwili jeszcze mają miejsce w repertuarach, i stanowią wdzięczne pole wykazania dobrej szkoły i materiału głosu śpiewaków.

Verdī, coraz więcej rozwijając zasoby swego umysłu i męźniejac duchowo, stawał się jednak coraz bardziej zamkniętym w sobie, stroniącym od świata i jego spraw. Ożeniony powtórnie ze słynną śpiewaczką *Strepponi*, stworzył sobie ci-

che ustronie, gdzie większą część swego czasu przepędza, prowadząc życie pracy dla kraju i sztuki. Praca ta, dała mu stanowisko samodzielne, uczyniła go człowiekiem wpływowym w najszerszym znaczeniu tego słowa, lecz on broniąc się całą siłą od rozgłosu, unika starannie wszelkich owacy i honorów. Gdy Włochy złączone politycznie, zaczęły się organizować i rozwijać życie parlamentarne, powołany głosem narodu jako przedstawiciel jego części do zasiadania w izbach, Verdī, pełen skromności, żadną miarą nie chciał przyjąć tego odznaczenia i dopiero na usilne i serdeczne wezwanie *Cavoura*, zgodził się wystąpić w roli męża stanu i przez wiele lat służył pożytecznie krajowi. W owym czasie, mniej więcej w r. 1862, napisał jedno z najwspanialszych swych dzieł. Chcemy tu wymienić wielkie Requiem, w które, pod wpływem bolesnej straty swego przyjaciela, *Manzoniego*, przełał całe swe uczucie żalu i przygnębienia. Dzieło to wspaniale odzwierciedla stan duszy autora, w genialnych zarysach uplastyczniając boleść i grozę śmierci. W niem-to, prześcigając się w głębokości pomysłów muzycznych, wznosi się owiele wyżej ponad poziom poprzedniej swej twórczości i wobec tego, słabną nawet piękne dzieła ostatnich lat pracy, jako to: „*Nieszpory Sycylijskie*“, „*Simone Boccanegra*“, „*Bal maskowy*“, „*Moc przeznaczenia*“, „*Don Carlos*“—a natomiast jest już sobą, twórcą arcydzieła „*Aidy*“.

Krytyka zarzucała kompozytorowi w Requiem zanadto teatralny nastrój, brak powagi religijnej, słowem, nazbyt światowy pierwiastek. Być może; lecz nie należy zapominać, iż Verdī jest południowcem, a jako temperament gorący, namiętniej odczuwa każde wrażenie, które go nawiedza i ujawnia je ostentacyjnie. Verdī, Włoch teraźniejszej epoki, nie może stać się średnio-wiecznym *Fra Angelico*, artystą tworzącym w skupieniu ducha, z namaszczeniem religijnym; on tylko daje folgę swemu uczuciu, ono zaś wybiera samo formę swego uzewnętrznienia, zawsze jednak zgodną z temperamentem artysty i z żywiołem, w którym się obraca.

W tym samym czasie co Requiem powstała „*Aida*“. Była ona również, niepowolnym przejściem talenta na pewien wyższy stopień, ale wzniesieniem się jego na doniosłość pierwszorzędną, skupieniem się i spotęgowaniem sił twórczych, wyzwaniem, które geniusz rzuca światu, zdając się mówić: oto co mogę! *Aida* przekroczyła granicę dzielącą jeszcze operową muzykę włoską od potężnych natchnień sztuki niemieckiej. Jest ona skończonym dramatem w którym muzyka rozwija całą akcją na równi z poetycznym podkładem. Zapomocą tonów rzeźbi charakter, idealnymi swymi dźwiękami maluje odcienie dusz ludzkich, wtajemnicza nas w ich uczucia i cierpienia, w ich słodycz i grozę; i jak w życiu, splatają się działania jednostek, przeróżne wywołując następstwa, jak w życiu, ścierają się charakter, pozostając mimo to samymi sobą, — tak w dramacie tym muzycznym odzywa się prawdziwe tętno każdego serca, widnieje duchowy rys każdej postaci, a właściwy nastrój każdej chwili dramatycznej trzyma słuchacza w naprężeniu wrażeń takich, jakie się odbiera w obec rozgrywających się na scenie arcydzieł słowa.

Co do stron technicznych, niema w *Aidzie* żadnego wysiłku; potężna, pełna w orkiestrze, chórach i ensembalach, nosi cechę świeżości i posiada melodeje, które nie czują potrzeby wynagradzać aż do przesady misternem opracowaniem, jakiegoś ubóstwa.

Po stworzeniu *Aidy* następuje aż dwudziestoletnia przerwa w twórczości maestra. Jest to wszakże tylko wypoczynek po długich latach pracy, a nie jej abnegacja. Duchowemi oczu Verdī zwrócony na jedno z największych arcydzieł *Shakespeare'a*, na „*Otella*“ nosi się z marzeniem odtworzenia go w malowidle tonów. Kwestya układu libretta, któreby zawierało odpowiednie do opery warunki, nie niżając idei szekspirowskiej, staje się z każdym rokiem bardziej palącą. Aż wreszcie pisze libretto *Henryk Boito*, autor „*Mefista*“, a pisze *cou amore* dla swego mistrza, którego natchnienia przenika i rozumie. Na tem tle Verdī z młodzieńczą jakoby siłą porywa się do pracy,

i oto powstaje „*Otello*“. Aby scharakteryzować tę operę, na scenie naszej nieznaną, musimy pod słuchać sprawozdań zagranicznych i w echu ich odczuć oile jest godną genialnego twórcy.

Śpiewacy i orkiestra, wyraża się obca krytyka, są tu duszą i ciałem pod władzą doniosłej treści, na czem właśnie cały wyraz dramatyczny się zasadza; żadnej błahostki ni próżności, żadnego nakładu bezpożytecznych środków—nadmierzajna, aż do naprężenia posunięta, staranność i uwaga na część instrumentacyjną partytury — w harmonicznej i modulacyjnej tkaninie, w mieszaninie barwy tonów, wszędzie dążność do niedwuznacznej, charakterystycznej ściśłości. Im głębiej zatapia się Verdī w mroczne tajniki ludzkiej natury, tem silniej wstrząsa nerwami. Z przerażającą lubością maluje szatańską istotę *Jaga*, w którego łonie nurtuje podszept trucizny. Wszelkie używane pojedyncze i zbiorowe środki: w recitativach, arjach, duetach, tercetach etc. służą za expozycją najrealistyczniejszej prawdy. W całym dziele znajduje się podobno nader mało miejsc oderwanych, ustępów zwartych li tylko w sobie; brzmi śpiew, lecz nie słyszy się zadnych pieśni; głosy, poruszają się nieprzerwanie w wątpliwej co do pierwszeństwa granicy pomiędzy rzeczywistą melodyą a czystą deklamacją, zazwyczaj jedna lub druga bierze górę, niekiedy tylko łącząc się w szerszym wspólnym strumieniu.

Kto w operze dla ogółu przystępnej ceni łatwo od razu pochwytą dla ucha i pamięci melodeją, ten nie rozraduje się słuchając „*Otella*“: nie znajdzie tam tych natchnień bezwiednych, bezpośrednich gorących porywów, — albowiem świado-ma siebie celowość i kunsztowne pojęcie tego do czego się dąży, zastępują poprzednie czynniki. Mowa tonów, ściśle zespała się z treścią tekstu ulegając jej wymogom i nie dając sobie folgi.

Są-li to cechy doskonalenia się? Należałoby tu roztrząsnąć wszystkie dodatnie i ujemne strony dróg, któremi kroczył tegoczesna muzyka. Kwestya to już odrębna. My, rozpatrując całą Verdiego działalność, musimy tylko czoło schylić przed mistrzem, którego genialna myśl nie słabnie, który, jak drugi *Goethe*, zasiała nas skarbnami mniej może już błyskotliwymi, twórczością z charakterem więcej myślowym, filozoficznym, lecz daleką od zmanierowania i czyniącą zadość popędowi tego realistycznego stulecia.

Wobec takich warunków można wierzyć, że genialny mistrz, nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa z głębin swej wielkiej duszy.

*Juljusz Stattler.*

## ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd—Kępiński.

(Dokończenie)

Nareszcie zadudniało głucho, belki mostu na Rudawie zatrzeszczały pod ciężarem wozów, zbliżała się chwila, w której wolność i życie stawiano na kartę!

Most był wązki, zaledwie jedna na nim fura pomieścić się mogła; gwardyacy musieli się cofnąć i pozostać w tyle, — przysłała do działania pora. W jednej chwili rozciął *Pietrek* szerokim nożem postronki *Ratułta* — za chwilę ściskali się czterej towarzysze wolnemi rękoma, — to samo na drugim wozie uskuteczniał *Jasiek*. Czasu było dosyć: wozy powoli wtaczały się na most i, dudniąc głucho po belkach, staczały się z niego; gwardyacy, stojąc obok na brzegu Rudawy, zapatrzeni na miasto, nie zważali na nic. Powoli *Pietrek* dostał się do broni i, wyciągając ze słomy, podawał ją jeńcom. Niedługo wszyscy czterej

mieli szable w drżących od wzruszenia rękach, wznosząc oczy ku niebu z serdeczną podzięką; przyciszone chrząknięcie z jaśkowego wozu dawało poznać, że i tamci towarzysze dobrali się do broni.

W dali mknął tętent kłusującej dragonii obersta Gordona. Przerzywana dudnieniem wozów, chrzęstem szabel i parskaniem koni ponura cisza, zaległa wszędzie,—jeno serca się tłukły młotem niecierpliwym jeńcom, z piersi kipiącej zarem dobywał się przerywany oddech, ręce im drżały, jak w febrze, w oczach błyszczał zapał i niepowstrzymana żądza odwetu i walki. Pietrek po-pędził konie, które, rażno parskając, zbliżyły się truchtem do przydrożnej karczmy. W tym momencie dostrzegli wszyscy pałacą się strzechę; jasny płomień wijący się zlocistą smugą, niby żądło węża, pełzał z początku, pożerając słomę, aż otoczony kłębam dymu i wieńcami iskier, strzelając ognistym słupem w niebiosa, ogarnął dach cały, rozszerzał się coraz bardziej, i oświetlił jaskrawo drogę i ten szereg jeńców, co teraz jak mąż jeden powstali na wozach.

— Gore, gore! — wołano ze stron wszystkich, i zgiełk niesłychany wszczął się na przedmieściu. W tej chwili przystanął Gordon ze swoją dragonią, a przewidując napad, kazał trębaczom dać sygnał i dobywszy szable, sformował szeregi na drodze wzdłuż Wisły. Wśród krzyku i nawoływań, wśród gwaru i szczyku, od Sikornika zadrgał w powietrzu donośny głos trąbki; na to hałas ozwały się inne i niby las cały poruszył się żywy z niepisany łoskotem i chrzęstem: jak lawina śniegu przygrzana zarem południowym słońca, poruszyły się od Sikornika jakieś hufce zbrojne, a łamiąc i druzgocząc wszystko, runęły na jeźdźców Gordona z taką gwałtownością, że zdawało się, iż całe przedmieście się wali, że się pod ziemię zapadają mury klasztorne pańien Norbertanek.

Od dachu stodoły zajęła się z ogromnym trzaskiem karczma i sąsiednie domy: przy płomieniach, krwawo wznoszących się w niebo, poczęła się rzeź najstraszniejsza, jaką kiedykolwiek widziano w tych czasach. Zgiełk, wrzawa, okrzyki, ryk piekielny koni, — w jednym momencie rozdarły powietrze: zwarte szeregi gwardyi i dragonii z zastępem rycerstwa, przewracały się i warczały jak olbrzymi potwórowi, a w tym chaosie piekła nie słycać nie było, jeno chrzęst broni, łomot padających jeźdźców, przerywane okrzyki i straszne konających jęki. Było to niby krwawiące się cielsko, kłębiące się wałem, pocięte na sztuki—to znowu zrastające się w konwulsyjnych drganiach.

Gordon walczył jak wściekły. Szerząc dokoła siebie postrach i zniszczenie, torował sobie drogę olbrzymim rapirem, gdzie płał—krwawo bluzgający tułów był straszliwym śladem cięcia jego ręki; zdawało się, że żadna siła tego olbrzyma zwalczyć nie zdoła.

Z kipiącą piersią, z rozognionym wzrokiem, obłany potem i posoką, dyszący cały chucią krwi i walki, rzucił się w punkt najbardziej zagrożony całą siłą konia. Naprzeciw niego runął rycerz z zamkniętą przyłbicą, i jak szalony, we wściekłym impecie puszczanego konia, zwarł się gołą szablą z dowódcą dragonii. Wszczął się pojedynek na śmierć i na życie: zazgrzytało żelazo, sypiąc dokoła iskrami. Z ogromnym jakimś chrzęstem zwarły się pałasze, odbijając płomienie pożaru w zwierciadle swej stali. Kilka chwil zwiły się koło siebie, niby żądła żmij; naraz olbrzymi rapir Gordona, odbiwszy cięcie rycerza, błysnął mu nad głową i ciałą całą siłą o stalowy szyszak. Z opadłej gwałtownem cięciem przyłbicy wyjrzała płonąca twarz adjutanta króla Jegomości.

— Wielowiejski! — krzyknął osłupiały Gordon, i jeszcze nie skończył krzyku na jego wargach, kiedy jęknąwszy, chwycił się za głowę i runął bezwładnie z konia, oręż wypuszczając z ręki; poza nim pojawił się Druźbic rozogniony walką, z okiem płonącym zapałem, z szablą okrwawioną w dłoni; przy nim, z głową obwiązaną chustą, stoi nasz znajomy pan starosta Dzierżek.

W chwili, kiedy hufce związkowych natarł na dragonią, nasi towarzysze, wyskoczywszy z wozów, rzucili się z gołymi szablami na zastęp gwar-

dyaków, którzy od czoła prowadzili pochód. Zaskoczeni zniemacka, prawie nie wiedząc, z kąd się wzięła napaść, oszołomieni ogólnym chaosem, pierzchnęli gwardyacy, zostawiając dwóch ranionych i kilka luźno biegających koni, które się stały upragnioną zdobyczą uwolnionych jeńców. Wszyscy, kto mógł dosięść konia, rzucili się w wir walki z szalonym impetem, uderzając z tyłu na jazdę Gordona.

Druźbic i Malczewski, z niesłychaną zaciętością rąbiąc koło siebie, torowali sobie drogę ku środkowi walki. W przelocie dojrzał Druźbic otyłego rycerza, który ostatniemi wysiłki parował cięcia dwóch dragonów, godzących w niego gołymi szablami. Krew spływająca po obliczu rubinową strugą świadczyła najlepiej, że rycerz był raniony, a stalowy pancierz, nabijany srebrem, burka muzulbasem podbita i zresztą postać cała bogato przybrana nie pozwałały powątpiewać, że to był mąż znaczny, towarzysz pancernego znaku, a któż wie? — może nawet dowódca oddziału. Dlatego-to dragoni tak go napierali, dlatego i Druźbic pogonił z odsieczą; czas też na nią było, bo już siły na dobre rycerzowi słabły. Podstolic w braku ostróg poparł łydką konia: szlachetny zwierz spał się dębem i jakby przeczuwając chęci swego jeźdźcy, jednym potężnym skokiem rozdzielił walczących. Zadzźwięczały szable, ale nie na długo: Druźbic potężnem cięciem zmiotł z konia dragona; drugi przez łeb raniony, uszedł z placu walki.

Wybawca i wybawiony spojrzeli na siebie.

— Kto jesteś, młodzieńcze? Z kim mam honor mówić? — przemówił zadyszany rycerz, ocierając burką skrwawione oblicze.

— Jędrzej Druźbic, podstolic łomżyński.

— Wdzięczny do śmierci Onufry Dzierżek, starosta gajowski.

I jak mogli, naprędce, opatrzywszy ranę, puścili się przebojem szukać pułkownika. Szczęściem, trafili na czas jeszcze, by mu życie ocalić i pochwylić cięcie rapira Gordona.

Walka wrzała na wszystkich punktach, lecz słabła widocznie; po stracie Gordona, pozbawieni komendy, królewscy żołnierze łamali się, pierzchając we wszystkich kierunkach. Nie udał się spóźniony atak oberstlejtenta Lettowa, który nadbiegł z odsieczą w całym pędzie koni, ale, widząc klęskę stanowczą, przerznął się tylko z dwoma szwadronami gwardyi i zniknął na gościńcu, nie ścigany nawet przez konfederatów, którzy, oszołomieni wirami walki, nie umieli wyzyskać korzyści zwycięstwa. Niedługo odgłos trąbki położył koniec niesłychanej rzezi. General Jordan, otoczony zewsząd hufcami zwycięstwa, składał broń, oddając się na łaskę i niełaskę z całą swą siłą zbrojną.

W parę godzin później ponura cisza zaległa Zwierzyniec. Blady księżyc z mglistych oparów wyłaniał się senny, patrząc przerażony na ogromne kupy popiołu i zgliszcz, między którymi walały się niedopalone bale, deski i belki tlejące iskrami, a tu i owdzie gorzał jeszcze płomień ognistym językiem. Na sponiewieranym, krwawymi strugami ciekącym gościńcu, leżały zwłoki w pociętych pałaszami rakowych mundurach, ścisnąc jeszcze rapir konwulsyjnie w rękach; tu znowu błyskały lśniące hełmy gwardyi obok granatowych kontuszów związkowych rycerzy, z wykrzywioną od cierpienia twarzą, stratowanych końmi, wgniecionych w biały, śniegiem pokryty niedawno goścień, a teraz rozbełtany, rozkiszły strumieniem krwi bratniej, co brocząc, nie zastygła jeszcze na pociętych ciałach. Gęstą lawą leżące trupy z pokiereszowanym obliczem lub rozbitą czaszką, ciała sposoczone koni, połamane rapiry, muszkiety i szable—świadczyły o zażartej wściekłości bratobójczej walki. Ale anioł pokoju i śmierci rozpościerał już białe skrzydła nad owym cmentarzem. Głucha cisza panowała już wszędzie, czasem ją tylko przerwała odległe psa wycie, albo bliżej, w ostatnich drganiach, konających jęki, zdawało się, że życie, tętniące przed godziną tutaj całą siłą krwi i namiętności, zamarło naraz, aby już nie wrócić. Jedynie księżyc, niby oko Opatrzności, siejący promienie na ponury cmentarz, świadczył, że Bóg jeszcze nie opuścił nieszczęśliwej ziemi.

Na tej przestrzeni krwawej i posępnej obok przewróconych wozów do góry kołami leżał stary Ratuł z krwawiącą się głową. Wyciągnięte, konwulsyjnie zaciśnięte ręce osłaniały po śmierci nawet strasznie porabane ciało. Były to zwłoki jego jedynaka, ostatniego potomka starożytnego rodu Ratułów—Józefa. Opodal z połamaną szablą w pokurczoną rękę, leżał Jacek Malczewski z rozłupaną głową; kilka ran na ciele, połamany pałasz: były dowodem, że staroście spławata twarz jego, pokryta stygmatem bohaterskiej śmierci, zmieniła swój wyraz, wypiękniała jakoś spokojem, rezygnacją prawdziwie chrześcijańską; zsiniałe tylko, zaciśnięte usta zdawały się jeszcze szeptać: „*Una spes victis nullam sperare salutem*“...

Napad konfederatów, dokonany pod samymi murami Krakowa, wobec licznej komendy pana łowczego Branickiego, mógłby się wydawać fikcją lub plodem wybujałej fantazyjki autora, gdyby nie był ściśle historycznym faktem. Oto, co o nim pisze źródło wiarygodne, bo generał Henryk Dąbrowski w swoich pamiętnikach, wspominając o wuju swoim generale Henryku Lettowie:

„Ku końcowi panowania Augusta III został Ludwik Henryk Lettow majorem, a na początku panowania Stanisława Augusta oberstlejtentem w gwardyi konnej. W czasie Konfederacji Barskiej wchodziła gwardya pod dowództwo Branickiego.

„W r. 1769 gwardya zasłaniała Kraków, rozlokowaną będąc na przedmieściach Zwierzyniec i Piasek. Gwardya dowodził niedołężny generał Jordan, którego konfederaci, napadłszy zniemacka, zabrali z dwoma szwadronami w niewolę, Oberstlejtent Lettow, przerznął się w czasie tego napadu z innymi dwoma szwadronami przez konfederatów i szczęśliwie się połączył ze stronnictwem królewskim. Jordan, posadzony o niedbalstwo, został usunięty, a w jego miejsce mianował król generałem i komendantem pułku gwardyi Ludwika Henryka Lettowa“.

Zapomniał dodać generał Dąbrowski, że od dział konfederacji oświęcimskiej dokonał napadu, odbijając równocześnie wiezionych do Warszawy więźniów pod eskortą gwardyi, prowadzonej przez generała Jordana, który tak niefortunnie z owoimi jeńcami zamienił swą rolę. Załatwiwszy się z historią na podstawie autentycznych źródeł, przejdźmy teraz do podań rodzinnych, aby skreślić dalsze koleje życia pojawiających się postaci w naszej opowieści. Oberster Gordon, którego z placu boju przywieziono do Krakowa z porabaną głową, wygoił się z rany i połączył związkiem ślubnym z Maryą Górecką. Ale niedługo zaznał małżeńskiego szczęścia; od owej zwierzynieckiej bitwy nie służyło zdrowie panu Frydrykowi: wziął dymisy i osiadłszy na wsi, chciał zdała od gwaru bitew w spokojnem zaciszu odzyskać zgruntu nadwątlone siły. Nie pomógł jednak spokój, nie pomogło powietrze, przesycone balsamiczną wonią, ani starania młodziutkiej małżonki. Niedawno żołnierz olbrzymiej budowy, którego niewidziana siła budziła podziw w całym pułku gwardyi, — pokaszływał, wiał, gasł widocznie w oczach, aż wreszcie wyschnąłszy na szkielet, zakończył żywot doczesny, dziwnem zdarzeniem wypadków, w samą rocznicę napadu na dom Wielowiejskich. Major Ludwik Dębicki, któregośmy w przelocie poznali w Zborzycach, awansował na pułkownika gwardyi a po pierwszym rozbiorze, wziąwszy dymisy w randze generała, osiadł w dziedzicznych Wiatowicach myśląc, o usłaniu rodzinnego gniazda. Czy dawniejsze, czy świeższe daty stosunki stały się powodem, że się połączył z wdową po Gordonie, szesnastoletnią Maryą Górecką, tego już nie wiemy; to jednak pewna, że generalstwo żyło długo i szczęśliwie, że gościnne progi wiatowskiego dworu były długo ostoją dla licznych rozbitków, zmuszonych warunkami losu albo nieszczęśliwym położeniem kraju, szukać schronienia w ówczesnych i późniejszych czasach. Jakiej zaś miary byli owi ludzie, którzy znajdowali schronienie w domu generalstwa, niech nam to służy za przy-

kład, że w r. 1794 przebywali w Wiatowicach: Hugo Kollataj, generał Józef Wodziński i wreszcie osobisty przyjaciel obojga generalstwa—Tadeusz Kościuszko<sup>17)</sup>. — O Drużbicy wiemy tyle tylko, iż ożeniwszy się niedługo po opisanych wypadkach z ukochaną nad wszystko Jadwisią Dzierżkówną, mieszkał koło Łomży, nie dowiedziawszy się o swem pochodzeniu. Z nim podobno wygasła rodzina Drużbiców, a Jędrus jak za czasów młodości ciągnął do żołnierki, tak i w późniejszym życiu każda potrzeba kraju miała w nim szermierza. W pamiętnej bitwie pod Szczekocinami padł Jędrus jako przyboczny adiutant generała Wodzickiego od pchnięcia bagnetu.

Mówiąc o Drużbicy, nie możemy zapomnieć jego opiekuna. Adjutant króla Jegomości, ożeniwszy Jędrka, zamieszkał w Zborczycach, zachowując do późna stosunek przyjaźni z siostrą Kunegundą. R. 1792 wyprowadził go ze spokojnego życia na szerszą arenę: jako generał major w dywizji Kościuszkowej odznacza się Wielowiejski kilkakrotnie, nie tylko odwagą, co zresztą byłaby rzeczą zwykłą, ale wyższymi talentami wojskowymi, których tak nam brakło. Zresztą była to osobistość ze wszystkimi talentami i błędami ówczesnego świata, chociaż pierwsze przeważały stanowczo w całym jego życiu, tak obfitem w wypadki i tak pełnym ruchu, że może jeszcze raz ulegniemy pokusie, aby przypomnieć czytelnikom „adyutanta Króla Jegomości“.

## Czytanie dla młodzieży.

### II.

Gwiazdka tegoroczna przyniosła nam dar, który bez przesady nazwać mogę drogocennym: objawiła nam nowy talent pisarski—talent pierwszorzędny w tym dziale właśnie, gdzie był tego brak wielki: w literaturze dla młodego wieku. *Biblioteka dla młodzieży*, wydawana przez Gebethnera i Wolffa, zamieściła świeżo „opowiadanie dla młodzieży“ pod tytułem *Mój Dobroczynca* Jadwigi z Zakrzewskich Wóycickiej, autorki mapy Królestwa Polskiego i Europy, a rzadko kiedy książka z tego zakresu piśmiennictwa zrobiła mi tyle przyjemności. Jest to rzecz wyborna: malowanie naszej wioski niewymownie wdzięczne i miłe, połączone z poglądowną nauką natury naszej, z pożytecznymi wiadomościami z dziedziny nauk przyrodniczych, a wszystkie pisane z bardzo ważnym względem na stronę rzeczy pedagogiczną i prowadzone tak, że jest to zarazem edukacja dobrego serca, edukacja uczucia dziecinnego w stosunku jego szerszym niż rodzina tylko, bo jest tu obok młodego bohatera tej opowieści ślicznej, Janka, syna właściciela wioski, postawiona służba dworska: Maciejowa gospodyni i chłopak pokojowiec: Antek, towarzysz zabaw panicza. Znajdują się tu jeszcze: z Warszawy na letni odpoczynek przybyły na wieś człowiek uczony—przyrodnik, badaniom natury oddany, i to stanowi obok ojca, otoczenie chłopca sieroty bez matki, co też jest z subtelnością pedagogiczną bardzo zręcznie pomyślane, aby charakter matki, jako kierowniczkę i wychowawczynię dziecka, nie ucierpiał coś wobec młodych czytelników na brakach, którym podlega Janek—swawolnik, nieokiełznany zrebzyk, który po ogrodach, polach, lasach swobodnie buja. Ale hulalo się, bawiło, nie zważało na przestrogi starszych, aż dohulało się biedy: Janek spada z drzewa, nogę łamie i do łóżka iść musi—musi być na czas dłuższy do niego przykutym i tylko Antek rozrywa go jak może; znosi różne przedmioty zabawy, wspólnie z Maciejową, która na swój dział bierze dostarczenie mu przysmaczków. Przecież Janek, który ma dobre serce i który już przed położeniem się do łóżka czuł niejednokrotnie żal za swoje psoty, za

swoją cyganeryą, teraz w siebie wchodzi: zastanawia się i widzi nietylko to, w czem był winien, ale spostrzega zarazem, że powinien być innym, bo wady jego, rosnąc z nim, gdzieżby go zaprowadziły? Nudzi się przytem i gość z Warszawy, p. Julian, następcza jego uwadze pierwszospostrzeżenia się nad naturą, i nad cudami, które się pełnią wkoło niego a których on dotąd jakgdyby nie widział, bo nie zdawał sobie żadnej sprawy z rzeczy widzianych.

— Trzeba umieć patrzeć, aby coś widzieć... powiada mu p. Julian i uczy takiego patrzenia na przedmioty otaczające jego — na naturę, która przedstawia teraz zaciekawionym oczom chłopca cuda, jakich istnienia nie domyślał się nawet, choć przez lat tyle pełnił się obok niego, otaczały go i otwierały mu szeroko wrota do krainy iście czarodziejskiej. Antek dostaje też dział pewny tej nauki, rozświecający nam przed oczyma świat, wśród którego żyjemy—dostaje go za pośrednictwem Janka, a ten stosunek panicza do pokojowca, tak, jak stosunek do niego starej gospodyni Maciejowej jest bardzo ładnie, bardzo miło skreślonym, z wielką prostotą, i bez żadnych też kazań, bez żadnych nauk moralnych, na użytek miłości bliźniego i równości ludzkiej pisanych, książka uczy tego, i jest nauką uczucia ludzkości—szlachetnego humanizmu w najnaturalniejszy, najłatwiejszy, a w dawnych naszych obyczajach praktykujący się w ten sposób wszędzie tam, gdzie liche uczucie pańskości nie wypędzało człowieka, aby robić miejsce pankowi.

Guwernantki cudzoziemskie, francuzkie szczególnie, dużo zawiniły w tej zmianie rozrywającej naturalną harmonią życia naszych wsi; ale to kwestya długa, w którejby trzeba dodać i słowo jakieś o elegancyi mamy, o tej nowoczesnej pańskości ojca, jakiej nie miewali niegdyś senatorowie jakiej nie bywało w wewnętrznym życiu najbardziej pańskich, karmazynowych rodzin. Autorka trafiła w niezmiernie przyjemny sposób na ten punkt, z którego kreślony przez nią obrazek musi chytać za serce ciepłem swoim i wdziękiem rodzimym, pełnym uczucia. Edukacją uczucia możnaby też nazwać tę książkę tak, jak krytyka nasza nazwała utwór Amicisa: *Pamiętnik chłopca*. I ze wszystkich też względów książka p. Wóycickiej zaraz po *Pamiętnikach chłopca* iść może, a jej autorkę zaliczyć się daje do najlepszych naszych pisarek dla młodego wieku, co ze względu na braki nasze w tym kierunku jest wielce pożądaną rzeczą. Swojska rzecz—rzecz oryginalna zawsze jest inaczej dobrą, niż przelozona, zwłaszcza w tym kierunku zadań moralnych, które dotycząją wewnętrznego życia rodziny.

Książka p. Wóycickiej ma przecież i jedną jeszcze pożyteczną stronę swoją: wprowadza w umysł młodych czytelników pewne wiadomości z nauk przyrodniczych, podając sumiennie przy końcu książki spis dzieł, które jej były pomocą przy pisaniu, a lista to nie mała i nie poślednie rzeczy mieszcząca, dowodząca drugostronnie, że autorka jest pisarką pracowitą i nie traktuje lekko zadania swego, na którego drodze powinna też znaleźć powodzenie, jakiego jej serdecznie życzyć należy. Łaska losu daje nam w p. Wóycickiej zastępczynią zmarłej autorki *Dwóch siostr*, a jest między temi dwiema pisarkami i pewna łączność uzdolnień. Obie, przy idealnym kierunku uczuć i myśli, opierają się w tworzeniu swym na przyrodzawstwie i naukach realnych.

M. Ilnicka.

## Życie w Japonii.

(Dokończenie.)

Wyroby japońskie, dotychczas niedające się naśladować w Europie, dostatecznie świadczą o zdolności Japończyków do rzemiosł i przemysłu, o delikatnym ich smaku, pracowitości i zręcz-

ności zdumiewającej. Panuje w nich jakaś dziwna pogoda. Każdy wyrób japoński, jakby się uśmiechał do człowieka, jest jakimś wesołym, raduje wzrok. Jest to i zasadniczy charakter samego wytwórcy. Japończyk sprawia wrażenie istoty naiwnie swobodnej, wesołej, zadowolonej. Niech się tylko kupka ludu zbierze na placu, a zaraz zaczynają się wesołe rozmowy, żarty, nieraz i płasy. Pomarańcza, fajka, filiżanka herbaty wystarcza do zabawy i ugoszczenia. Ta łatwość życia objawia się także i poetycznością, jakby na zawołanie. Nieraz na pięknym jakim drzewie znaleźć można przyczepiony kawałek papieru z wierszami na cześć jego zaimprovizowanemi. A dlaczegożby kobieta miała być gorszą od drzewa? Rzecz prosta: uliczna poezya i ją opromienia,—tylko ręka poety nie waży się już utworu swego na niej zawiesić, jak na drzewie.

Mowa japońska nie jest przyjemną dla ucha, a przytem odznacza się nadzwyczajną wybrednością w koloraturze głosowej. Proste, naprzykład, oznajmienie: „Wychodzę na miasto“—inaczej wygłosić potrzeba do równego sobie, inaczej do podwładnego lub służby, inaczej do osoby wyżej postawionej. Literalnie sprawdza się tu francuzkie: „*C'est le ton, qui fait la chanson*“. Wszystko zależy od nastroju, od wysokości i głębokości głosu. Nauczyć się języka japońskiego trudno, głównie z tego powodu, że prawie wszystko w nim inaczej się pisze, a inaczej wymawia.

W muzyce trudniej się jeszcze porozumieć Europejczykowi z Japończykiem i odwrotnie: jeden drugiego nie rozumie. Muzyka japońska jest czemś zdaleka podobnym do tego, co wiemy o muzyce greckiej. Słucha Japończyk na swoich koncertach Donizettiego, Verdiego, Auberu—ba, nawet Schuberta i Beethovena, ale przypomina nieraz tego dobrze znanego u nas dziennikarza, a zdolnego i zacnego człowieka, który dla „honoru redakcyi“ sypiał na koncertach mendelsonowskich. Zato znowu brzęczenie starojapońskie na dziwacznych przyrządach, niemających odpowiedniej sobie formy w Europie—w rozpacz wprawia Europejczyka. Powoli przecież i do ucha japońskiego przeniknie Europa. Rząd założył jeszcze przed kilkunastu laty konserwatorium muzyczne, w którym Niemcy i Francuzi nauczają muzyki europejskiej. Na wielkich popisach wobec ministra wyznań i oświaty występują orkiestry i chóry z samych Japończyków. Popisy indywidualne wykazują ciągły postęp.

Japonia jest piękną krainą, i ziemię ma urodzajną i klimat łagodny. Astronomiczne pory roku schodzą się prawie z naszymi, ale w rzeczywistości lato jest dłuższe, a zima krótszą i nie tak sroga. Marzec i Kwiecień w Japonii odpowiadają Majowi i Czerwcowi w Europie. W końcu Czerwca już dojrzewają małe sliwki, kwaskowate, używane na cele lecznicze. Od tych sliwek zowie Japończyk porę deszczową, która właśnie wówczas nastaje „deszczami sliwkowemi“, *bai-u*. Jesieni naszej, z jej uliściem, tak oryginalnym i w koloryce bogatym, nie zna Japończyk; możemy jednak chętnie pomieniali się z nim na jego zimę. Nawet palmy nie marzną w dwóch najcięższych miesiącach: Grudniu i Styczniu, chociaż mróz nieraz ścina wodę w grubą powłokę lodową, a śnieg bieli zupełnie pola. Trwa to jednak niedługo, tylko się często powtarza. Ogrodnicy bardzo starannie chodzą około wtlejszych krzewów i drzew. Mają zwyczaj obcinać korzenie tak, aby pod samym pnem zostawały tylko kłęby kuliste.

W Maju zaczynają się już upały, uragany—i Moskity. Jest to plaga wcale nie w przenośnym, ale w jaknajdotykalniejszym, ciału krwawiącym boleśnie, znaczeniu. W Maju też kto może, przed moskitami w góry ucieka. Tam już bezpiecznym od nich być można. Potworki te ukazują się w nocy i przez najgęstsze podwójne siatki nieraz dostać się do żywego ciała umieją.

Gorsze przecież od moskitów są tu burze, nadciągające zawsze od morza.

Ubiegłego lata miewała piękna natura Japonii jakby napady szaleństwa. Na wyspie Kiu-siu wydarzyło się w Lipcu wielkie trzęsienie ziemi, a d. 19 Sierpnia przeszedł w pobliżu Nary, najdalej wniejszej stolicy japońskiej, na Nipon, straszli-

17) Pamiętniki pułkownika Ludwika Szczanieckiego. Poznań u Kamińskiego i spółki, 1863.

## Kronika działalności kobiecej.

wy tajfun. Huragan ten, ogarnawszy prowincję Kii, zostawił po sobie prawdziwy potop. Tysiące ludzi poginęło w nurtach wezbranych rzek i rzeczulek, stawów i jezior. W samym tylko mieście Wakajama, stołecznym w Kii, naliczono tysiąc ofiar. Wody poznywały całe wsie i osady. Na jakie 100 mil morskich (22 geograficzne) od brzegu ocean był żółto zabarwiony, a na jego powierzchni unosiły się szczątki budynków, sprzętów, powyrywane z korzeniami drzewa, trupy zwierząt i ludzi. I jakby tego nie dość jeszcze było niszczącym żywiołem przyrody, d. 11 Września nowy cyklon przeciągnął wzdłuż całej Wyspy Nipońskiej, sprowadzając znowu spustoszenia i klęski. O samą stolicę Japonii potwór powietrzny bokiem się tylko otarł, ale i takie jego nawiedziny ściągnęły na Tokio wiele zniszczeń; pozapadały się domy, a w rumowiskach zginęło ludzi coniemiarą. Nawiedzona dzielnica nazajutrz zasypana była szczątkami zwalonych domów, drzew, płotów i parkanów. Rząd z wielką sprężystością wziął się odrazu do usunięcia śladów klęski, nie tylko przez uprzątnięcie ulic, ale i przez obmyślenie środków do życia dla nieszczęśliwych mieszkańców. Dobroczytność przytem, publiczna i prywatna, zajaśniała w całej pełni.

Wielce malownicze są okolice Tokio. Oprócz owego jeziora Sunudagawa, służącego do regat młodzieży uniwersyteckiej, inne jeszcze rozstacza przezrocze swych wód, obramowane wyniosłymi pagórkami, na których rosną niezrównanej piękności cedry japońskie. Jest to jezioro Upeno. Z drugiej strony, nad morzem, brzegi góryste, lasami ciemnymi porośnięte, tajemnicze urwiska i rozpadliny, potoki górskie i wodospady. Nad czarowną zatoką tokijską, widzianą od morza, wznosi się majestatycznie święta góra japońska, wulkan Fudżyjama. Ze śnieżnych szczytów wśród wiekuiących lodów buchają na krótko tylko ustające płomienie, a czyste niebo Japonii podkłada dziwnie urocze tło pod majestatyczną postać ognistego olbrzyma natury. Wysokość jego dochodzi do 12.000 stóp.

Wycieczka w góry Hakone otwiera przed podróżnikiem widoki Szwajcaryi. Prawdziwym uroczyskiem jest miejscowość Mijuanoszyta, a wyżej jeszcze nad nią, w wulkanicznej formacji, biją źródła siarczane Aszynoje, ze zbawieniami własnościami leczniczymi. Dalej jeszcze, wśród borów i jarów, i wzgórz i przepaści, leży od wieków sławne miejsce pielgrzymek religijnych, ze świątynią wyjątkowej łaski. Jest to romantyczne Nikko. Japończyk uważa je za swój Neapol i ma o niem przysłowie: „Kto Nikka nie widział, ten nie wie co piękne“ (*Nikoko wo mizu, to kekko uo dzyran*). Tutaj dopiero poznaje się całą wspaniałość budowli kościelnych Japonii.

Z Nikko wychodzi się pod górę w głęboką, dziką dolinę, którą przerywna rwący, niespokojny potok. O dwie godziny drogi dalej leży jezioro Czyjucenzi, jakby na spodzie olbrzymiej skalistej czaszy, wytworzonej przez wulkaniczne siły ziemi. W samym już środku wyspy Nippon, 5.000 stóp nad powierzchnią morza, skryło się w górach miejsce kąpieli siarczanych Jumoto, odwiedzane co lato przez licznych krajowców i cudzoziemców. Góry na 6.000 do 9.000 stóp wysokie niewiele mu zostawiły przestrzeni swobodnej; uroczą siedziba ledwie się do podstawy jednej z nich przylepić zdołała. Góry mają swoje bóstwa buddyjskie, każda inne. Na olbrzymią Nantajzan potrzeba się wdierać przez 3 do 4 godzin; zejść zaś z niej nie można inaczej, jeno zesuując się jaknajostroźniej. Powietrze w górach jest orzeźwiająca. W dzień 19 stopni R., w nocy potrzeba nieraz dwóch i trzech kołder, aby się uchronić od zimna.

Podróżnicy coraz tłumniej zapuszczają się w głąb tej japońskiej Szwajcaryi. Wspaniała natura swojemi cudami daje Europejczykowi to, czego mu nie da życie w społeczności dla niego obcej, chociażby najpomyślniejsze, w dobrodziejstwie cywilizacji i widoki coraz większego postępu jaknajhojniej wyposażone. Dobra, wszystkim nam wspólna, *alma parens*, zachwycając swą pięknnością, przytuła do swego łona i w sercu koi, choć nakrótko, tęsknotę do ojczyzny.

— Do nowej szwalni Towarzystwa Dobroczytności, otwartej dnia 10 Grudnia, uczęszcza dziewcząt 360, od lat 10-ciu do 18-tu. Czas pracy w szwalni jest, gdzie dziewczęta otrzymują bezpłatne obiady, od godziny 9-tej rano do 5-tej po południu. Oddziałów jest tu cztery, w których dziewczęta stosownie do wieku i uzdolnienia uczą się: szyć, cerować, haftować, kroju i roboty sukien, robót wytwornych. Niezależnie od tego jest codziennie zajętych po kolei w kuchni, gdzie uczą się gotować, 15. Obok tego uczą się jeszcze prać i prasować, to jest wszystkich w ogóle robót gospodarstwa domowego. Budynek szwalni, położony, jak wiemy, przy ulicy Starej, a wzniesiony staraniem ks. kanonika Wierzbickiego, ma obok ogródek, gdzie w porze letniej uczennice będą się obznajmiać z gospodarstwem warzywnem i hodowlą kwiatów. Opiekunką zakładu jest p. Józefowiczowa.

— P. Irena Karłowiczowa objęła opiekę i nadzór nad Kuchnią Obiadów Bezpłatnych dla ubogich cyrkułu I-go i X-go.

— P. Julianowa Simlerowa weszła do Rady Opiekuńczej nad ubogimi cyrkułu III.

— Ewa Potkańska, stała mieszkanka Francji, Wersalu, otrzymała na wystawie paryzkiej dyplom uznania za artystyczne malowidło biurka w stylu XVI wieku, używając, jako wystawczyny, pseudonimu: Speranza de Brochwicz. Za malaturę w tym samym rodzaju i stylu otrzymała ona w roku zeszłym na wystawie londyńskiej medal złoty. Wskutek zaszczytnego odznaczenia na wystawie paryzkiej przyznano jej prawo, aby nazwisko jej zostało wpisane do Złotej Księgi wystawy (*Livre d'or de l'exposition universelle de 1889*). Córka tej pani, Helena, została dopuszczoną do udziału wszystkich tych zaszczytów matki, jako jej współpracownica.

— W Berlinie „Stowarzyszenie Gospodyń“ obchodziło poraz szesnasty uroczystość rozdania nagród za długoletnią, uczciwą służbę domową w jednej rodzinie. Odbywało się to, jak dozwolone, w ratuszu, w Sali Obywatelskiej, pod przewodnictwem Liny Morgenstern. Przedstawionych do nagrody zostało sług 30, ale tylko 22 stawiło się osobiście, od ośmiu nadeszły listy, pisane przeważnie przez ich pracodawczynie, tłumacząc niemożność przybycia do Berlina: siedmiu dla odległości ich miejsca pobytu, jednej z powodu choroby. Przewodnicząca przemawiała do zgromadzonych szlachetnie i rozumnie, wykazując jak długoletnia praca sługi w jednej rodzinie przynosi zaszczyt, tak jej, jak i jej pracodawczynie, bo obie muszą to być zarówno zacne, zarówno chrześcijańskim uczuciem obowiązków między ludzkich przyjęte osoby. „Gdzie służąca może lata długie z zadowoleniem pozostawać, tam niewątpliwie u ogniska domowego stać musi, jako naczelniczka rodziny, kobieta z sercem dobrem, wyrozumiała, taktowna i odpowiednio rządna“. Pracująca pod jej rozkazami musi być naodwrot uczuciem obowiązku przejęta, nieleniwa, uczciwych obyczajów osoba. Obie zatem są zarówno czeigodne, zarówno na szacunek ludzki zasługują.

„Pani przecież ma tu do pomocy staranne wychowanie, wykształcenie umysłu i wygodniejszą, łatwiejszą w życiu pozycją. Sługa najczęściej młodo w świat na pracę między obcych ludzi idzie, i mniej umiejaca, potrzebuje więcej poddać się kierunkowi tej starszej swej siostry w pojęciu życia i jego powinności. Jeżeli przecież jest sercem dobra i pracy za nieszczęście nie uważa, jeżeli rozumie to, że na każdym życia stanowisku można przez osobistą swą godność do szacunku ludzkiego dojść — to na szacunek ten, na uznanie uczciwych ludzi sobie zasłuży i pozyska je w równej mierze, jak ta jej pracodawczynie, która potrafiła być pochrześcijańsku wyrozumiała i przez to uczucie serca niewymagającą nad miarę —

dobrą“. Mowa była piękna i długa, bo przedstawiła cały obraz wzajemnych stosunków pani i sługi, ich oddziaływań i następstw dla stron obu. Wykazywała ona najpierw korzyści, wypływające z pozostawiania przez czas dłuższy w jednej rodzinie pracodawców, co zabezpiecza nie tylko moralny, ale i materyalny dobrobyt sługi. Następnie mówczynie wykazywała, jak naodwrot to, co gospodyni domu daje tu w wyrozumiałości, dobroci serca, w uczuciu bratniej miłości bliźniego, wraca jej się z procentem — jest „błogosławieństwem pokoju, danem rodzinie“. Szczególniej jeżeli chowa się tam dziecko, wtedy ta harmonia życia codziennego, niezakłócona przez wprowadzanie tu coraz to innych osobistości — ta atmosfera ciepła, koniecznie się przy ognisku domowym wyrabiająca, oddziaływa na kształtujący się charakter istoty młodej w stopniu bardzo wysokim. Dziecko, otoczone wciąż przez przychylny dłoń osoby, uspasabia się do uczuć względem każdego życzliwych, więc serce młode rozwija się do życia, jak kwiat do słońca, ucząc się przez taką najlepszą uczucia praktykę miłości bliźniego i szanowania człowieka bez względu na różnice położenia towarzyskich.

Była między najwyższe premiiowanymi jedna, 32 lat spełniająca obowiązek kucharki w dwóch pokoleniach jednej rodziny: u matki i córki, a którą wnuk pierwszy, a syn drugiej pracodawczynie do nagrody podał. Nagrody udzielane tu są: za lat od 5 — 10 nieprzerwanej służby w jednej rodzinie złota brosza z odpowiednim napisem; za lat od 10 — 15 także brosza i książka do nabożeństwa w pięknej oprawie, w tym roku przeciw była tu dodana i książka kucharska Liny Morgenstern „Dla zdrowych i chorych“. Za lat od 15 — 20 przybywa do tych nagród książeczka kasy oszczędności z zapisaniem tam wkładem 10 marek. Po tym terminie przybywa zawsze do nagród, jak wyżej, podwyższona summa wkładu w udzielonej książeczce kasy oszczędności: za lat służby 25 wkład ten jest 20 marek, za lat 30 — 25 marek. Na tegoroczne premia wydatkowała stowarzyszenie, liczące 400 pań, 544 marki. Sług nagrodzonych przez kilkanaście lat istnienia towarzystwa jest 350. Sędziwa cesarzowa Augusta stoi tu na czele jako protektorka.

Po zakończeniu uroczystości rozdania nagród całe grono, tak stowarzyszonych pań, jak premiiowanych, zebrało się w lokalu szkoły gotowania „Towarzystwa Gospodyń“ gdzie spożyto razem obiad biesiadny.

— Francuzka pani, hr: de Noailles, ofiarowała 10.000 fr. za najlepszą rozprawę przeciwko wiwisekcyi.

— Akademia Francuzka przyznała nagrodę fundacyi Juliusza Favre, 800 fr., Maryi Dronsart za książkę: „Portraits d'Outre-Manche“. Część nagrody Lambert, 420 fr., wzięła Marya Lionnet za tom poezyi; druga część tej nagrody: 800 fr. przyznano Helenie Varesco za poezję: „Chants d'Aurore“.

— Generalna inspektorka ochron francuzkich, „écoles maternelles“, M-elle Matrat przemawiała na kongressie międzynarodowym dobroczynności publicznej, jak powinna być prowadzoną pierwsza nauka dzieci mało inteligentnych.

— Francuzki minister oświecenia przedstawił do sankeyi prezydenta dekret utworzenia rządowych stypendyów dla uczennic, uczęszczających do rządowych liceów dziewcząt. Średnie wykształcenie kobiet bardzo zajmuje obecnie umysły we Francji.

— Ludwika Chauvin, studyjaca prawo na uniwersytecie paryzkim z celem oddania się adwokaturze i wytworzenia sobie klienteli kobiecej, zwróciła się z zapytaniem do rządu, zali następnie nie zostanie, jak jej koleżanka belgijska, M. Popelin, odsunięta od praktyki obrończej.

— Dwie angielskie powieściopisarki: Mrs Linn Linton i Wiliamowa Harrison, znana pod pseudonimem Łukasza Maillet'a, stanęły na czele komitetu, chcącego uczcić pamięć Wilke Collins'a pomnikiem, nie z kamienia przecież, ani żelaza. Zamierzonym jest utworzenie fundacyi jego imienia, udzielającej zapomogi młodym, talent objawiającym pisarzom. W angielskich sferach literackich

utrzymuje się przekonanie, że Collins przy wielkiej twórczej sile wyobraźni i zdolności obrazowania, byłby się stał jednym z najświetniejszych pisarzy angielskich wyższego stylu, gdyby konieczność pracy na chleb nie kazała mu się rzucić w romans sensacyjny dla zapewnionego przez to zarobku.

— Miss Klementyna Black, honorowa sekretarka kobiecego Stowarzyszenia handlowego, odezwała się przez dzienniki do publiczności, żądając, aby ogół dobrze myślących ludzi wziął do serca położenie kobiety potrzebującej opierać się w życiu na pracy. Pracy tej zaczyna braknąć na dawnych torach, tradycyjnie wyznaczonych dla kobiety; potrzebująca jej szuka sobie dróg nowych i rzuca się ku wszelkiej, o której sądzi, że potrafi zawieźć ją do celu, przyczem przecież spotyka się często z zawodem. Nietyle emancypacyjne pragnienia, ile potrzeba zarobku—chleba, pcha do tego kobiety, i wykołaja im życie, wprowadzając zarazem zamęt w pojęcia zatem należy to do obowiązków społecznych dzisiejszej chwili, aby kwestyą pracy kobiecej zbadać i postawić rozwieconą przed oczy, które tu jasno widzieć powinny.

W odpowiedzi na to wezwanie trzy panie angielskie: Lady Somerset, lady Sandhurst i M-rs Sheldon Amos, wspierane w chwalebnych swych usiłowaniach przez biskupa Bedfordu, zawiązały komitet z celem zbadania warunków pracy kobiecej w Anglii i informowania następnie tych, które, potrzebując zarabiać na życie, szukają sobie drogi do tego. Komitet zamierza w dalszym ciągu założyć informacyjne biuro pracy kobiecej, oraz centralny zarząd, któryby czuwał nad pracującymi, bronił ich przed wyzyskiem, a tam, gdzie kobieta jest sama naczelniczką zakładu, udzielał jej wskazówek handlowych, co do kierunku obrotów przedsiębiorczych i udzielania zapomóg w czasie zastoju ruchu handlowego i drugostronnie zastoju pracy. Wątpić nie można, że stowarzyszenie to zrobi wiele dobrego—że ocali setki, tysiące przed najboleśniejzemi zawodami, że ureguluje kwestyą pracy kobiecej w Anglii, i zazdrości tego trzeba kobiecie tamtejszej wobec smutnego stanu, jaki panuje pod tym względem u nas. Każda nasza wystawa pracy kobiecej już wykazuje braki świadomości w kierowaniu się robotnicą, o czem wie aż nadto każdy, kto jest nieco bliżej zestawiony z robotnicą i z tą, która robotnicą zostać pragnie i nie wie biedaczka w którą stronę się zwrócić, zwłaszcza, że w społeczeństwie niebogatem popłacać nie mogą te zajęcia poświęcone przeważnie ornamentyce w przemyśle zbytkowym, które we Francji, na przykład, są najobszerniejszym polem zarobku kobiety i ztąd zaliczają się rozgłośnie do rzemiosł kobiecych. W Anglii kwestyja objaśniania robotnicy nie schodzi nigdy

z porządku dziennego i kobiety zamożne uważają to sobie za obowiązek, aby tu współdziałać z potrzebującą. Świeżo ukazała się w Londynie niewielka książeczka informacyjna o pracy kobiecej, napisana przez kobietę, Hieronimową Mercier: „Work and How to do it“. (Roboty i jak ją odrabiać). Są to wskazówki pracy dla licznych gałęzi zajęć kobiecych, nietylko w przemyśle, bo znajdują się tu rady pożyteczne co do zawodu nauczycielskiego kobiety, który, naturalnie, autorka uważa za najwyższy i największe znaczenie w rezultatach swoich mający dział pracy kobiecej. Krytyka angielska dodała tu przecież swoją uwagę, że jest on, niestety, przepełniony. Potrzeboby i u nas podobnej książki, która przedstawiałaby wszystkie zajęcia, wszystkie rzemiosła kobiece ze względem, tak na wydatek tu sił pracujących, jak na możliwy zarobek, jaki przyniesie może obrona praca, nie pomijając ważnego względu warunków tej pracy w moralnym stosunku do osobistości pracującej. Następnie byłoby to obywatelskim obowiązkiem prassy, aby rozbiór książki wykazywał przez odpowiednio uzdolnione pióra, gdzie już miejsce jest o tyle zajęte, że pracująca może być narażoną na zawód.

— W Holandyi dopuszczono kobiety do wykładów w uniwersytetach. Kobiet lekarzy, zwłaszcza wiejskich jest w Holandyi bardzo wiele i spełniają tam one wielce użyteczną pracę przy łóżku wieśniaków, której nie podjąłby się mężczyzna, zwykle żądający większego, niż kobieta wynagrodzenia za pracę swoją. Kobieta, przestaje na skromniejszym, byle stale zapewnionym jej bycie, i takie skierowanie lekarskiej pracy kobiecej jest tu bardzo dobrem i obustronnie: dla kobiety i dla społeczeństwa, pożytecznym, bo wsie nie są pozbawione pomocy lekarskiej, a kobieta nie staje w miastach do konkurencji z mężczyzną, rzadko wypadającą na jej korzyść. Kobiety są też w Holandyi aptekarzami; ale i tu przeważnie po wsiach parafialnych, po małych miasteczkach, co dzieje się we Włoszech z najpomyślniejszym dla pracującej skutkiem i co powiodłoby się niewątpliwie i u nas, jak to pismo nasze już wskazywało. Trzeba tylko zadawałniać się bytem bardzo skromnym, co przy dzisiejszych warunkach ekonomicznych jest rzeczą konieczną i jeszcze może to być szczęściem, które się zawiera w zapewnionej możności uczciwej i trwałej pracy, z pożytkiem dla ludzi a zapewnieniem przyszłości własnej.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall, i Ark. 1-szy powieści pod tytułem: **Odtrącony**, przez Reneusza Bazin.

## DLA MATEK.

W pierwszych miesiącach roku przyszłego wyjdzie w przekładzie polskim p. M. Dzierżanowskiej, znakomita praca francuzkiego myśliciela Bernarda Perez'a p. t. **Psychologia dziecka**.

Część jej pierwsza opatrzona tytułem:

### „Trzy pierwsze lata dziecka“.

znajduje się pod prasą.

Jest to sumienna obserwacja niemowlęcia od chwili pierwszych objawów jego życia, dająca wszystkim troskliwym matkom wyborne i dokładne wskazówki do systematycznych, pedagogicznych trudów nad przyszłością, zdrowiem, rozwojem inteligencji, jednym słowem: nad jutrem ukochanych istot.

Dzieło Perez'a jest pracą tak poważną, tak głęboką i doniosłą mającą znaczenie, iż wszystkie prawie europejskie literatury przyswoiły ją sobie. W każdej liczy ona kilka, a nawet kilkanaście, wydań, co już samo świadczy o jej wartości i w skutek tego znaleźć też ona powinna miejsce w bibliotece każdej troskliwej matki.

Pragnąc uprzystępnić szerokiemu kołu pań naszych nabycie tej ze wszech miar pożytecznej książki, ogłaszamy przed jej ukazaniem się z druku prenumeratę na część pierwszą, która stanowi sama w sobie całość, na jeden rubel, z przesyłką 1 rs. 20 kop. Po wyjściu książki cena jej znacznie podwyższoną zostanie.

Przedpłatę prenumeracyjną adresować należy do redakcyi „Bluszczu“, albo do którejkolwiek ze znaczniejszych księgarni.

Gebethner i Wolff.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

W roku przyszłym drukowaną będzie w „Bluszczu“

NOWA POWIEŚĆ

Maryana Gawalewiczka

pod tytułem

DRUGIE POKOLENIE.

#### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

#### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro.

wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

**TREŚĆ:** (Drzeworyt) Przenajświętsza rodzina.—Pogawędka.—Józef Verdi przez Juliusza Stattlera. — Adjutant króla jegomości opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kepieński. — Czytanie dla młodzieży II-gie przez M. Ilnicką.— Życie w Japonii. — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall i Arkusz 1-szy powieści pod tytułem **Odtrącony**. — Przegląd mód. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 9 Декабря 1889 года.

